Tom XVI. Nr. 2.

11. stycznia 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Okrutnik moskiewski.

Słyszeliście pewnie nieraz, jak to bezbożnie i ciężko uciskają Moskale tę część polskiej ziemi, która jest pod ich panowaniem Tysiące Polaków prawych i cnotliwych zgniło tam w ciemnych lochach i więzieniach, tysiące rozstrzelano lub powywieszano na szubienicach, a znowu niezliczoną ich ilość wysłano i wysełają w kraj zimny i lodowaty, w którym prawie słonko Boże nie świeci, ale zawsze tylko sroga, mroźna zima panuje, to jest na Sybir! A za cóż katowano tam biednych Polaków, za co zgładzano ich śmiercią okrutną? Oto za to, że kochali swoją ojczyznę i wiarę ojców swoich!

Otoż widzicie nie od dziś to w Moskwie panuje takie okrucieństwo. Opowiemy wam o jednym carze moskiewskim, co żył wtedy, kiedy w Polsce rządził król Zygmunt August a potem Stefan Batory. Car ten nazywał się Iwan Groźny, a to z tego powodu, że był dziki i zajadły jak zwierz krwawy. Okropne są zbrodnie tego okrutnika, na sam opis włosy stawają na głowie i serce ludzkie się oburza! Opiszemy wam tu niektóre z jego strasznych czynów.

Iwan Groźny wstąpiwszy na tron moskiewski, zaczaił się i udawał jakiś czas dobrotliwego monarchę, ale naraz począł jak wściekły mordować swój lud, katować niewinnych i pastwić się nad wszystkimi bez najmniejszej przyczyny. Zaczął od tego, że nakazał wielką rzeź ludu, czyli tak zwane po moskiewsku *opały*. Jednego starego i pobożnego xięcia, że nie chciał raz tańczyć na balu, który Iwan wyprawiał, a to z tego powodu, że jako starcowi poważnemu nie wypadało mu jakoś hulać z młodymi, Iwan Groźny kazał za to zamordować. Inny xiążę nie chciał pić trunków nad miarę i za to skazał go Iwan na śmierć okrutną. Kazał związać nieszczęśliwego i lać mu przez lejek do gęby miód dopóty, dopóki się nie udusił. Innego znowu rzucił do lochu podziemnego i zamorzył go na śmierć głodem. Mnóstwo wtenczas panów moskiewskich wyginęło okrutną śmiercią na rozkaz dzikiego Iwana. Ci, którzy mogli, ratowali się ucieczką do Polski, w której zawsze była wolność i ludzkość, i udawali się pod miłosierną opiekę króla polskiego

Między innemi okrutnemi zwyczajami miał Iwan Groźny i taki. Oto miał on laskę z słoniowej kości, a laska ta okuta była żelazem i wyostrzona tak, jakby gwóźdź duży. Kiedy który z poddanych stawać musiał przed nim, wtedy on wpychał mu tę laskę w nogę, dziurawił ją na wskróś i wiercił w kościach tym gwoździem, a przytem patrzył na twarz tego nieszczęśliwego. Gdy ten, którego tak okrutnie ranił, zrobił twarzą znak bolu, zaraz kazał go brać siepaczom, męczyć jeszcze w okrutniejszy sposób i potem zamordować.

Podczas pierwszej rzezi czyli tak zwanych opałów, kazał. Iwan Groźny wymordować 300 ludzi.

Myślałby kto, że tem się jego krwawa wściekłość już uspokoiła. Gdzie tam! oto wybudował on sobie zamek w dzikim gęstym lesie, zebrał sobie kilka tysięcy rabusiów i nazwał ich *strelicami*, to jest po naszemu strzelcami, a to dla tego, że mieli na ludzi polować Z tymi rozbójnikami wypadał Iwan Groźny od czasu do czasu jak zwierz rozwścieczony z ciemnych lasów i mordował dalej lud niewinny.

Tym swoim strzelcom dał Iwan Groźny chorągiew, a na tej chorągwi namalowana była psia głowa i miotła, a to na

znak, aby gryźli niewinnych jak psy i aby jak miotłą wymiatali lud biedny z tego świata. Jakoż ci rozbójnicy na rozkaz cara jakby dla zabawki wypędzali biednych chłopów z ich chat i roli, gonili ich w lasy i puszcze i pilnowali, aby tam z głodu i zimna ginęli. Tym sposobem wypędził Iwan Groźny w lasy dwanaście tysięcy ludzi i ci wszyscy zginęli od głodu i zimna.

Potem znowu inna myśl przyszła do głowy strasznemu temu okrutnikowi. Zebrał 300 co najbezbożniejszych rabusiów i złoczyńców i poprzebierał ich w duchowne szaty, jakby zakonników. Zaraz z tymi łotrami, poprzebieranemi za xięży jakby na urągowisko Bogu, zaczął nowe mordy. Codziennie mordowano po 20 ludzi i to w najstraszniejszy sposób. Jednych siekano żywcem w drobne kawałki, drugich smażono i smolono, innym znowu zapuszczano gwoździe za paznogcie itd. Niedość było ludzi, nawet zwierzęta zabijał Iwan Groźny, gdziekolwiek co przydybał. W końcu jeszcze okrutniejsze myśli opanowały dzikiego Iwana i zebrawszy swe wojsko, wybrał się mordować i palić miasta własnych swoich poddanych. Najpierw spalił i wyrznął całe miasto Klin, potem wymordował mieszkańców miasta Twer. Następnie przyszedł do miasta Nowogrodu, kazał obstawić straże do koła, aby nikt nie uciekł, wymordował xięży, mieszczan i lud ubogi, pozwalając na najokrutniejsze pastwienie się nad nieszczęśliwymi. W tem mieście Nowogrodzie zatrzymał się z swem łotrowskiem wojskiem Iwan Groźny i zapowiedział, że będzie sądzić lud. I taki to był sąd, że codziennie po pięćset ludzi niewinnych kazał mordować! Żeby prędzej skończyć, rzucano biednych do wody i hurtem ich zatapiano, a żołnierze żerdziami i widłami pchali pod wodę tych, co chcieli wypłynąć. Sam zaś Iwan był zawsze obecny wraz z swym synem podczas tych strasznych morderstw. Przez pięć tygodni mordowano tak lud w Nowogrodzie i wymordowano przez ten czas razem sto tysięcy ludzi!

Kiedy już nie było kogo mordować więcej, poszedł car Iwan Groźny dalej! Wymyślał coraz nowe okrucieństwa. Rzucał ludzi do pożarcia trzymanym na to umyślnie wilkom i niedźwiedziom. Potem pobudował umyślnie kuźnie wielkie, w których

kowale nic nie robili, tylko kleszcze, haki i gwoździe do katowania ludzi. Kazał także wymurować osobne ogromne piece do palenia ludzi żywcem. Wielu niewinnych biedaków kazał ten straszny okrutnik odzierać żywcem ze skóry, piłować sznurem na połowę, albo ucinać powoli członek po członku. Lud biedny błagał Boga o ratunek i ginął — a tymczasem Iwan Groźny pił, hulał i rozpustował.

Potem po raz trzeci, czwarty, piąty i szósty nakazał rzeź w narodzie. I znowu ginęło tysiące ludzi wszelkiego stanu, mieszczan i chłopów. Razu jednego wystawił Iwan Groźny na polu szubienicę i postawił kotły z wodą, ogłaszając że będzie wieszał i topił ludzi — co też i uczynił, wywlekając z domów nieszczęsne ofiary. Największą rozrywką Iwana Groźnego było trzymać sobie niedźwiedzie, uczone umyślnie do polowania na ludzi. Kiedy widział, że szła gromada wieśniaków, wypuszczał na nich niedźwiedzi i szczuł niemi, dopóki nie pozagryzały niewinnych. Nieraz znowu kazał zaszywać ludzi żywcem w skórę niedźwiedzią i rzucał między psy zajadłe, które rozszarpywały ich na kawałki.

Otoż widzicie, takich miała Moskwa carów! Czy możecie sobie wystawić większego okrutnika, łotra i krwiożercę, jak ten car Iwan Groźny! Ale przyszła kryska na Matyska. Była i wówczas sprawiedliwość na świecie i był Bóg na niebie. A wybrał sobie Bóg za narzędzie do pokarania Iwana Groźnego naród polski, który zawsze był miłosierny i pobożny i jego królów, którzy byli zawsze ojcami dobrotliwymi dla swych poddanych.

Kiedy w Moskwie wyprawiał car Iwan takie okropne okrucieństwa, kiedy tam działy się rozboje, gwałty i niewola, i nikt nie był pewny swojego życia — to tymczasem w Polsce panowały porządek, ludzkość, spokój i wolność. Rządził podówczas w Polsce naszej król Stefan Batory, monarcha dzielny i śmiały, król nad króle, którego Polacy nigdy nie zapomną! Gdyby to takich królów było więcej w naszej Polsce, lub gdyby przynajmniej sam ten król Stefan żył był dłużej, oj! nie bylibyśmy my biedni Polacy dziś w takiej niedoli!

Ale wracam do mego opowiadania. Otoż król polski widząc gwałty i mordy Iwana, a spostrzegając także, że on czycha na wolność innych narodów i dla Polski też jest wrogiem nienawistnym, postanowił wyprawić się na tego okrutnika i pokarać go za jego zbrodnie i bezbożności. Zebrał tedy wojsko i niedługo czekając poszedł na Moskwę. Król Batory mógł na prędce zebrać tylko czterdzieści tysięcy żołnierza a tymczasem Iwan Groźny pospędzał z jakich trzysta tysięcy Moskali na wojnę — ale się nie troskał nasz król Batory, bo wiedział, że choć mniej ma wojska, to przecież Moskala rozumu nauczy.

Wojsko moskiewskie wpadło tymczasem z wielką siłą do kraju inflandzkiego. Ze strony polskiej rozpoczął pierwszy wojnę xiążę Andrzej Sapieha. Miał on pod swojem dowództwem zaledwie dwa tysięcy wojska, a mimo to rzucił się pod miastem Wenden na Moskali, których tam było dziesięć razy więcej. Polacy jak uderzyli piorunem na Moskalów, w proch ich rozbili i do szczętu całe wojsko znieśli.

Iwan Groźny zrazu niby nie tracił odwagi i srożył się jeno i przechwalał mówiąc, że króla polskiego wnet zwycięży i upokorzy. Król Batory śmiał się z tych pogróżek okrutnego Moskala, a raz gdy mu się to sprzykrzyło, napisał list do cara, że kiedy taki zuch wielki, to niechaj nawet stanie z nim do pojedynku i niech się z nim sam na sam bije na szable. Oto taki list napisał król Batory do Iwana Groźnego:

„Ale ukaż się nam nakoniec ty Boże moskiewski, jak tam każesz siebie nazywać podłym swym niewolnikom! Nie widzieliśmy dotąd ani twej osoby, ani twej chorągwi, o której ciągle nam prawisz. Chorągiew twoja straszy tylko Moskali a nie nas Polaków! Jeżeli istotnie chcesz oszczędzić krew chrześciańską, człowiecze niby litościwy, dzielny rycerzu Iwanie, gotów jestem rozprawić się z tobą sam na sam. Wybierz sobie czas i miejsce, przybądź konno, a zakończym rzecz pojedynkiem!“

Tak to waleczny król polski Batory pisał do Iwana. Ale Iwan miał tylko odwagę do mordowania i katowania bezbronnych poddanych, a gdzie chodziło o własną jego skórę, to tchórz był wielki i bał się szabli jak baba. Więc też nie wy-

jechał na pojedynek, jakoby był powinien, gdyby był miał odwagę w sercu.

Tymczasem Batory ruszył z wojskiem w kraje moskiewskie i ciągle szedł naprzód jako zwycięzca, bijąc i rozpędzając wojska moskiewskie. Było to właśnie w r. 1579. Król Stefan przyszedł pod moskiewską fortecę Połock. Tam się ogromna mnogość Moskali zamknęła, i chcieli bronić się w murach, ale to nic nie pomogło. Wnet wojownicy polscy zdobyli połocką twierdzę. W tej to okazji odznaczył się walecznością pewien kmieć, co się zwał Walenty Wąs. Ten dzielny chłop Walenty Wąs, choć mu kula rękę zgruchotała, pierwszy wdarł się w mury fortecy i ogień w nią podrzucił. Za to został szlachcicem, a król mu dał w darze dwadzieścia łanów pola i nadał mu nazwisko Połotyński, a to od miasta Połocka.

Z pod Połocka poszedł król Stefan na drugą moskiewską fortecę, która się zwała Wielkie Łuki. Przysłał car Iwan tej fortecy huk wojska na pomoc, ale król Batory wojsko pobił i na wszystkie cztery strony rozpędził a fortecę szturmem zdobył. Przy tym szturmie znowu bardzo się wyszczególnił inny wieśniak polski, Grześ Wieloch z Miastkowa, który nie dbając na kule moskiewskie — podpalił był jeden parkan pod samemi murami fortecy, czem wielką szkodę Moskalom a wielki pożytek swoim sprawił. Za ten czyn waleczny zaraz na miejscu król Stefan zrobił tego dzielnego wieśniaka szlachcicem i panem.

Kiedy tak król Stefan bije Moskali i zabiera miasta, inni wodzowie Polacy też nie próżnują, ale odnoszą zwycięztwo po zwycieztwie i tłuką wroga na wsze boki. Teraz dopiero trach wielki ogarnął Iwana Groźnego! Poznał, że to nie przelewki bić się z Polakami. Przeląkł się okrutnie i jak dawniej przechwalał się i groził, tak teraz słał pokorne pisania do Batorego, prosząc o pokój. Ale król Stefan nie chciał na to przystać.

Cóż tedy robi Iwan Groźny? Oto fałszywiec wziął się do chytrych wykrętów i oszustwa i pisze błagalne pisanie do samego Ojca świętego, że on nie chce, aby się krew chrześciańska przelewała i prosi, aby się Ojciec św. wstawił za nim u króla polskiego. Za to zaś obiecywał Ojcu św., że jak mu

spokój u króla polskiego wyrobi, to on za to z moskiewskiej heretyckiej wiary przejdzie na katolicką z całym swym narodem.

Papież świątobliwy uwierzył, choć to widoczne było oszustwo, i posłał do króla Stefana i jak zaczął prosić i nalegać, tak król Stefan dał się uprosić i pokój zawarł z Iwanem Groźnym. W tej zgodzie musiał car Iwan Groźny odstąpić Polakom cały kraj Inflanty, fortecę Połock, ze sto miast rozmaitych i osiemdziesiąt zamków obronnych. A byłby jeszcze więcej stracił, gdyby nie prośba Ojca św., który wnet tego żałował, że za nim prosił, bo Iwan Groźny ani myślał dotrzymać tego co przyrzekł, a Moskwa jak była heretycką, tak nią jest i po dziś dzień.

Taka jest historja tej wojny z Moskalami. A cóż potem porabiał Iwan Groźny? Mordował i zabijał jak dawniej, ożenił się po raz ósmy i własnego syna zamordował, rozbiwszy mu głowę swą laską. Otoż wiecie teraz co to za cary byli w Moskwie i jaka to różnica, jak niebo między ziemią, jest między pobożną Polską a dziką i okrutną Moskwą!

Wojtek ze Smolnicy.

Przechadzka wieczorna.

Dzień rumiany spuścił oczy,
Cień kwitnące krzewy mroczy,
Po wsi ścigają się dziatki,
Niosąc jagody i kwiatki.

Tam pasterka w głębi sioła
Błędne krówki na noc woła,
Słońce za lasy odchodzi,
Bramy złocone odwodzi.

Koń opuszcza złote łany
Wraca miedzą popętany,
Grusze co w polu się bielą,
Długi ku drodze cień ścielą

Już zaporą skrzypła chatka
Gdzie przy dziatwie sama matka,
Skowronek zniża się w łany,
Żegnając dzień przespiewany.

Na głos dzwonka wstał ubogi,
Który siedział koło drogi,
Nucąc nabożnie przez gaje,
Na spoczynek się udaje.

Na kościółku krzyż blaszany
Błyszczy blaskiem zórz oblany,
Ptaszki ruszyły się z wieży,
Zkąd wołanie dzwonek szerzy.

Z pola idąc z wiązką siana
Pada matka na kolana,
Z dzwonkiem pod nieba sklepienie,
Marji szle pozdrowienie.

Na pagórku po nad łany
Stoi prosty krzyż drewniany.
Na nim w cierniowej koronie
Zbawca świata schylił skronie.

Tam pobożnych ojców dziatki
Ustawiły w dzbankach kwiatki,
Pod nim okropna mogiła
Grób samobójcy przykryła.

Od przechodniów w noc stroniona
Choinami przywalona —
Człowiek z wiarą powaśniony
Szukał w śmierci tu ochrony.

Nie chciał w smutku ufać Bogu
Nie spi przy kościółka progu,
W nocy bez pieśni kapłana
Jego mogiła sypana!

Wiatry tylko między skały
Między bory zaszumiały,
Kiędy na ziemię rzucona
Biedna płakała go żona...

Kazimierz Brodziński.

Dokąd prowadzi nauka z cnotą *).

Opowiedział Tadeusz Korwin.

I.

Dwaj przyjaciele.

W części Podola, którą ograniczyła kręto się wijąca sina wstęga Dniestru i wpadająca weń mętna Strypa — leży wieś Nadstrypie. Położona u brzegów tej rzeki, od której wzięła nazwę, szeroko rozłożyła się na uboczy – umajonej u wierzchołku cienistym lasem. Na jednym krańcu wioski rozsiadły się przestronno zabudowania dworskie, w około obsadzone smukłemi topolami, na drugim sterczą krzyże starodawnej cerkwi.

Snać czarna ziemia obficie rodzi, bo koło każdej prawie chaty widne brogi i sterty rozmaitego zboża.

Słońce miało się już z południa. Ulicą wiodącą ku cerkwi szło dwóch wiejskich chłopaków.

Pierwszy miał jasne włosy, a niebieskie jego oko smutnie jakoś poglądało; drugi, włosów i oczu czarnych był buńdziuczny i wesoły. Na jednego twarzy malowała się dobroduszność i rozwaga — u drugiego spryt i lekkomyślność.

*) Ta powieść wzięta jest z życia ludu ruskiego, co jest także poczciwym ludem polskim, a te imiona, które się niejednemu Mazurowi dziwnie wydadzą, są to imiona używane na Rusi.

Widocznie równi byli wiekiem, a książki, które gnietli pod pachami okazywały cel ich przechadzki. Idąc rozmawiali.

— Zgadnij Semeńku, co za nowina u nas? — pytał Iwaś o czarnych włosach.

— Może Kaśkę waszą wydają za mąż starsi?

— Ej gdzie tam!

— To może wasza siwula się ocieliła?

— Nie.

— To już i nie wiem, co u was ma być nowego, mój Iwasiu!

— Oto dziaduś...

— Czekaj, czekaj, hołubku! — przerwał mu Semeńko. — Ja zgadnę, pewno dziaduś jadą do Wiednia o ten proces z panem.

— Otoż i teraz nie odgadłeś mądralu; jadą dziaduś, ale nie do Wiednia, lecz do Buczacza tylko i biorą mię z sobą.

— Ciebie, Iwasiu?

— Ta mnie, bo dziaduś z matulą uradzili, by mnie do szkół oddać do xx. Bazyljanów, abym się rozumu uczył. O bo dziaduś mówią, że dzisiaj, to trza mieć rozum, aby się nie dać ocyganić ni panu, ni żydowi, a umieć każdemu postawić się siekierką

— Ot pleciesz Iwasiu, kiedy kto spokojny a uczciwy — mówili mój tatusio, to i bez tego będzie mu dobrze, a ludzie poszanują. Ale mieć rozum — powiada xiądz proboszcz — toć wielkie szczęście, więc i ja radbym pójść do szkoły — lecz gdzie nam myśleć o tem, u was to co innego, jest zboże i dobytek — u nas...

— Co tam wiele rozprawiać — przerwał mu Iwaś — jakbyś starszych poprosił, to by się może i zrobiło, a we dwóch byłoby jakoś raźniej między cudzymi.

Właśnie mijali cerkiew. Semeńko z pokorą zdjął kapelusz i krzyżem świętym naznaczył piersi. Iwaś jakby od niechcenia a ze zwyczaju kiwnął czapką.

— A wiesz ty Semeńku, że miasto to nie wioszczyna nasza, tam się człek napatrzy na rozmaite dziwa, a żydom napłata figli co niemiara. Ot jedź, jedź ze mną!

— Już to mnie nie trzebaby wiele namawiać, ale jak tatuś nie pozwolą?

— Oj pozwolą, pozwolą! Jak pójdziem oba, a będziem prosić, a prosić, to i pozwolą, choć się niby nasrożą.

— Daj Boże! — dokończył z westchnieniem Semeńko, bo w tej chwili stanęli u progu chaty, w której wrzało, jak w ulu. W tem zadzwięczał dzwonek, naraz ucichła wrzawa, a z przyległej stancyjki wszedł nauczyciel, aby rozpocząć naukę.

Więc nie będziemy im przeszkadzać.

II.

Rodzice Semeńka.

Był wieczór. Na przyzbie pod chatą siedział gospodarz, człek miernego wzrostu, szerokich ramion, a roztropnej i poczciwej twarzy. Z miski, którą co tylko przyniosła mu żona, zajadał kartofle z maślanką.

Dzień cały pracował ciężko, więc jadł smaczno. Praca to najlepsza do strawy omasta.

Obok u płota dziewczę doiło jedynaką krowę, a znajomy nam Semeńko podawał jej po garstce pokrzyw i trawy, które ona chwytała skwapliwie.

Na całem obejściu widne były ubóstwo i porządek. Jeden tylko stożek zboża stał na podwórku, a chata choć stareńka ze strzechą mchem obrosłą, miała ściany wybielone jaśniutko, szyby wytarte czysto i komin nad dachem sterczący.

Obok stał chlew, zapewne mieszkanie krówki, która żywiła całą rodzinę i maleńka stodółka. Więcej nie było budynków.

Gospodarz Hnat, tak było mu na imię, jeść skończył, otarł usta rękawem koszuli i przeżegnał się dziękując Bogu za jego dary.

Kobieta resztę wieczerzy dała dzieciom, a w dodatku ukroiła im kromkę czarnego żytnego chleba. Chłopiec i dziewczyna z miską i chlebem weszli do chaty.

Hnat powstał z przyzby, przeciągnął ramiona, aż wszystkie stawy chrząknęły i ziewnął szeroko.

— Oj namordowałeś się biedaku, namordował! — rzekła Hafja, bo tak się nazywała żona.

— Ta jużci, bom skosił za dobry sznur pańskiej hreczki. a hreczka, jak szuwar, tak się udała.

— Chwała Bogu, niech się im rodzi, bo to z kościami poczciwi ci nasi państwo.

— Prawda, święta prawda Hafjo! — niech tam inni szczekają sobie, to uczciwe ludziska, niejednego poratują: chorego lekami, biednego strawą, głupiego radą! Ale po pracy czas spocząć, a na rozhowor coś mi nie składno. Dobra noc wam Hafjo!

— Dobra noc mój serdeńku!

I Hnat poszedł do stodółki, odmawiając wieczorne pacierze.

III.

Narady.

Ledwie Hnat wszedł do stodoły, Semeńko wyśliznął się z chaty i przybiegł do matki.

— Czy słyszeliście matulo, stary Hawryło — i palcem wskazał na przeciwną chatę — oddają Iwasia do szkoły do Buczacza?

— Słyszałam synaczku — odrzekła Hafja gładząc chłopaka po rumianej twarzy — tak słyszałam. Choć Naści to nie w głowie, lecz staremu ułożyło się uczyć wnuka, więc posyłają go.

— A ja matulo? — pytał chłopak.

— Oj synku, oni bogaci, ich stać na to! Hawryło ruble garncem mierzy. Patrzaj, co u nich chleba, stożków, jak gwiazd na pogodnem niebie! Gdzie nam do nich!

— Ależ matuniu, pan profesor mówił — że i w mieście są poczciwi ludzie, co biednemu dopomogą. Ot byle na początek kilka cwancygierów!

— Dobrze ci mówić kilka cwancygierów! Gdzie to znaleść u biednego? Co człek zapracuje, ledwie na sól i przyodziewek starczy!

— Oj matulu, jabym tak się chciał uczyć! — prosił dalej Semeńko.

— Toć i ja radabym, abyś miał rozum, ale trudno. Muru głową nie przebije.

— A gdyby się poradzić państwa? — dorzucił chłopak. — Oni swą mądrą głową możeby znaleźli jaki sposób?

— Ktoby się też wiecznie im naprzykrzał! I oni mają swoje kłopoty! Ot i tak nie dawno chodziłam za lekami dla naszej Doci.

— Ale oni tacy dobrzy, oni nie wypędzą nigdy biednego człowieka. A jak pogadają z xiędzem proboszczem, to może się i zrobi, że pójdę do szkoły. Idźcie do nich jutro, matusiu, idźcie! — prosił chłopczyna i całował matkę w kolana.

— A tatusio? — spytała Hafja.

— Tatunio, i na to słowo Semeńko poskrobał się w głowę. — Oj prawda matulu, tatunio nie radzi, by chłop był uczonym, oni mówią, że innym trzeba rozumu, a nam Boga w sercu.

— Ale wiecie co matusiu — mówił dalej — jak nasz pan zechce, to go namówią, boć oni w słowa pańskie wierzą jak w świętą Ewanielję, a jak dorzucą słówko i xiądz proboszcz i pan profesor, to go taki na swoje przerobią. A już tak się będę uczył, że aż mi oczy zapuchną!

— Panie odpuść, durny chłopak! Daj go na to do szkoły, aby jeszcze oślepł, uchowaj Boże!

— Oj pozwólcie matusiu, matusieńko!

I długo jeszcze Semeńko prosił matkę i nie poszedł spać aż wtedy, gdy mu obiecała pójść nazajutrz rano do dworu po radę.

Gdy obok ojca usnął na twardej żytniej słomie, marzyło mu się o Buczaczu, książkach i Iwasiu. (Ciąg dalszy nast.)

Jeszcze o Mikołaju z Cybłowa.

Pisaliśmy wam w zeszłym numerze o Mikołaju z Cybłowa — a teraz oto takie o nim odebraliśmy pisanie:

Rok temu mija właśnie jak był u mnie gościną ów znany po całym kraju z gładkich wierszyków, pobożny, zacny chłopek, Mikołaj z Cybłowa. Pokój jakiś święty i miły zawitał z nim w moje ściany, taki to dziwnie czysty i mądry prostaczek. W czarnej świcie, z skórzaną torbą przez plecy, gdzie ma swoje

wiersze, obrazki święte i krzyż drewniany, z uśmiechem słodyczy na ustach, obszedł on o proszonym chlebie większą część naszej ziemi, i zna go ta ziemia i rada mu sercem u Mazurów i u Rusinów i błogosławi kroki jego — a on idzie błogosławiąc jej groby, jej dawne dzieje, jej krwawe pamiątki, jej cudowne krzyże, jej lud biały — idzie płacząc nad złem co się rozkorzeniło po tym kraju, nad jego grzechami i smutkiem, idzie wyciągając ramiona do braci w siermiędze i do braci w pałacach, chcąc ich w swoim uścisku połączyć, idzie modląc się gorąco — a wierząc gorąco i co krok spotykając cuda Bożej miłości i łaski, o których ani się śniło ludziom niemającej takiej wiary, takiej czystości żywota.

Przed dwunastą laty dopiero Mikołaj dawno już owdowiały i straciwszy dziecię i maleńkie mienie, po długiej i ciężkiej chorobie wstał innym człowiekiem. Opowiada ze łzami, że Bóg z nim cud uczynił i wtedy dał mu osobliwy dar składania wierszy, aby go użył na chwałę Boską i pożytek ludzi — i od tego czasu umiłował Boga bardzo gorąco — postanowił żyć świątobliwie i miewa dziwne z Bogiem duszne rozmowy, sny i widzenia; a wszystkie niewinne jak u dziecięcia; Mikołaj nie wie o własnej mądrości, pełen jest rozrzewniającej prostoty i jakiejś wewnętrznej łaski, która go oświeca w wielu rzeczach, chociaż nie umie czytać, nie wie o żadnej nauce

Z grosza wyproszonego wystawił sobie kapliczkę w Cybłowie z obrazem Matki najświętszej, który także cudownie odszukał i z poniewierki dobył. Koło tej kapliczki mieszka, i strzeże jej z wielkiem przywiązaniem, kocha bardzo Matkę najświętszą, co wyprosi to obraca na ozdoby, na firanki, na światło dla Matki Boskiej. Naucza ludzi gdzie się obróci, i ogromnie karci pijaństwo i rozpustę, czasem gdy zacznie mówić wierszami lub nie, to tak się rozpali, tak się uniesie, że ze czcią każden słucha wielkich prawd z ust świątobliwego chłopka.

Wie o dawnych rzeczach, o dawnych królach, o Tatarach, o Sobieskim, o niezgodzie bratniej, i boli go serdecznie dola nasza, i widzi bardzo jasno winy nasze a modli się o zmiłowanie. Zna miejsca cudowne nasze — wszędzie doznał cudu

Bożej łaski, to na duszy, to na ciele. Sokal, Leżajsk, Milatyn i Kalwarję zna doskonale i opisał składnie wierszami; co mówię, opisał? wszak pisać nie umie, tylko składa bardzo szybko a kto łaskaw to spisuje. Pismo św. i Ewanielję zna z kazań i katechizacji tak dobrze, że zadziwić się trzeba jaką tam Bóg daje pamięć swojemu słudze. W klasztorach rad bardzo czasem przebywa, a kocha się równie w kościołach jak w cerkwiach; robi wiersze po polsku i po rusku, a gdzie przyjdzie, najpierw chwali Boga i szuka jakiego obrazka świętego w kąciku, aby przed nim uklęknąć i pomodlić się. Nigdy się nie dotyka żadnego trunku i nienawidzi tę zgubę ludzką.

Taki dobry a osobliwy człowiek musi mieć nieprzyjaciół między niepoczciwymi; nieraz ofukną się na niego i słyszałem jak złośliwie mówią mu:

— Cóż chcecie Mikołaju, nie będziemy przecie tak żyć jak wy, nie rzucimy gospodarstwa i chaty i nie pójdziemy w świat jak wy modlić się pod krzyżami!

Mikołaj im raz ślicznie odpowiedział:

— Było dwie siostry, jedna krzątała się i gospodarowała, druga siedziała przy nogach Chrystusowych i słuchała słów jego. Obie Chrystus Pan kochał i obie błogosławił, bo obie dobrze czyniły — a nie dał krzywdy zrobić tej co siedziała i słuchala — a dobrą radę dał tej co biegała i troskała się. Wy tamta siostra co gospodarowała, a ja ta co słuchała. Wy dobrze gospodarzcie, pracujcie uczciwie, żyjcie po Bożemu, Bóg będzie z wami i będzie wam dopomagał, bo Bóg nic innego nie chce od was; a mnie dajcie pokój, ja muszę przy nogach Pańskich siedzieć i nie podchodźcie mnie jak Faryzeusze, a lepiej czyńcie co wam mówię.

Ba — żebym potrafił tak opowiedzieć jak Mikołaj!

Lubi się cieszyć swoim krzyżem drewnianym, który urobił po prostu i ozdobił paciorkami bursztynowemi, między któremi dwie czerwone, i pieszcząc się z nim powiada, że te paciorki to łzy Chrystusowe, a te czerwone, to krwi jego kropelki dane nam za napój — i tak po tych paciorkach rozmyśla całą Mękę krzyżową. Raz w Milatynie u Pana Jezusa cudownego, kupił za jałmużnę swoją ładne wstążeczki i zawiesił Panu Jezusowi

u stóp, i zdało mu się, że się uśmiechnął do niego — a gdy ztamtąd uczuł się słabym, dostał kolkę w piersiach; ciężko mu było, uciekł się jeszcze do obrazu, ale w duszy jego jakby głos jaki powiedział mu:

— Mikołaju wieszasz wstążki i kochasz Boga gdy ci dobrze i nic nie dolega, ale zobaczę, czy wstążkę powiesisz i kochać będziesz, gdy ci niebo ześle boleść i chorobę. Tamto nie wielka miłość twoja, potrzeba większej.

I zrozumiał Mikołaj, że i cierpienie jest wielką łaską, i zapragnął pokazać Panu Jezusowi, że Go kocha. I nie prosił już o zdrowie, ale o cierpliwość. Odchorował wtedy cały rok, w biedzie, w głodzie; ludzie mu raili doktorów i lekarstwa, leczyli nawet, ale on wiedział, że mu nie pomoże; modlił się i cierpiał, aż po roku ozdrowiał Bożą łaską. Nie można bez łez słuchać, gdy stary Mikołaj opowiada:

— A ja się tak cieszyłem, że mnie bolało, że taką łaskę wielką daje Pan Jezus!

Inną razą strudzony wędrówką, spoczywał Mikołaj w lesie pod drzewem; w tem widzi zdala: dwoje białych dzieci zbliża się do niego. Przyszła mu myśl niedobra ułożyć coś bardzo składnie na ich powitanie, i gdy tak myślał — białe dzieci zniknęły. Dobry Mikołaj żali się smutnie na siebie, że próżność go skusiła i przez to stracił widzenie anielskie, bo to pewnie byli anieli.

Znowu spotkał raz biedną sierotę kalekę w drodze, i złote serce jego użaliło się nad nią; miał chléb w torbie i choć sam głodny a do wsi daleko bardzo, dał wszystek chléb sierocie i grosz z kalety.

— Ja wiedziałem - mówił Mikołaj — że mi Matka najświętsza postara się o posilną wieczerzę, i ledwiem wyszedł z lasu, ludzie grabią siano proboszcza, a organista wziął mnie do chaty i uczęstował dobrą wieczerzą. Bóg cudowny, Bóg wszystko cudownie kieruje!

Mikołaj zostawił mi na pamiątkę obrazek św. Pawła, a że to właśnie był dzień św. Pawła a on o tem nie wiedział, ucieszył się jak dziecko, że znowu tak cudownie się stało —

pobiogosławił mi dziecinę, ładne wierszyki złożył na to wszystko i poszedł do Lwowa. Z powrotem przyniósł mi znowu gościńca od OO. Bernardynów, św. Jana z Dukli, zanocował, i z Bogiem, z krzyżem, z wierszykami odszedł do swej kochanej kapliczki w Cybłowie.

Może jeszcze kiedy napiszę wam o Mikołaju, gdy go się lepiej nasłucham. *B. E.*

RÓŻNOŚCI.

Doktor Cygan. Nastka Mielnikowa młoda kobieta, niedawno zamężna leżała śmiertelnie chora w świetlicy. Smutny mąż i zapłakana matka nie wiedzieli już co począć i przewidywali śmierć niedaleką. Wozili ją po babach, robili co kto przepowiedział, nic nie pomagało; na doktora ich nie stać było, czy też sami nie chcieli. Po wsi szła banda obdartych cyganów, krzykliwie prosząc jałmużny i nie przestając nigdy na jednem. Do sąsiedniej chaty zaszło dwóch cyganów co się oddzielili od gromady i śmiało sobie poczynając wypytywali, czy kto nie chory we wsi, bo jeden z cyganów sławny doktor na cały kraj, i nie dziesięć, nie sto ludzi już winno mu życie. W chałupie leżała babina trochę słaba, ale nie w ciemię bita, wyparła się słabości choć cygan skwapliwie ją szarpał i gwałtem chciał leczyć. Z rozmowy dowiedział się zręcznie o chorej Nastce Mielnikowej i nuż do chaty strzelił. Po grzecznych przywitaniach, gdzie często Pan Jezus i Matka Boska Częstochowska była na języku, choć ani w Pana Jezusa, ani w Matkę Boską nie wierzył, zaczął cygan składać cześć i honor temu domowi, a widząc smutne i poważne twarze, jął się wypytywać o chorą, a nie dosłuchawszy i połowy zaśmiał się głośno jacy to głupi ludzie, że kobieta jeszcze chora, że on wie wszystko, że on ją w lot uleczy, że będzie zdrowa jak ryba, że przysięgnie i da szyję, jeżeli za tydzień ją będzie co bolało. I zabrał się do roboty, kazał podać białą, lnianą nową koszulę i chustkę dużą, bo to koniecznie potrzebne do przemowy — kazał położyć 6 srebrnych szóstaków, bo i tego trzeba, aby przemowa miała moc, postawić wódki i chleba, zakasał ręce, nawarzył baniak ziela, zwiódł biedną Nastkę do góry, obnażył, obmył zielem, przemawiał, zażegnał i spluwał — aż lęk brał w chałupie, a skończywszy wszystko, kazał sobie zapłacić 2 reńskie, a co było potrzebne do przemowy, jemu się należało. Młody mąż i matka pogłupieli, trochę się drożyli, ale tyle usłyszeli nadziei i zaręczeń o zdrowie biednej Nastki, że na prawdę ucieszyli się i uwierzyli. Cygan udarowany poszedł światami, a w tydzień jak powiedział tak się stało, Nastkę już nic nie bolało, bo biedaczka leżała żółta jak wosk, martwa, dwie świece paliło się w głowach, a dziadek odmawiał pacierze.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.